



Śv. Rodzina w drodze do Egiptu.



BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. UMIŃSKIEGO.

I.

ROZBITKI Z „NARWAŁA”.

Na bulwarze portu nowojorskiego, w cieniu, rzucanym przez stos worków bawełny, siedziało dwóch ludzi; młodszy, w mundurze wyższego oficera marynarki prywatnej, trzymał w oczu długą morską lunetę i śledził z uwagą czarny punkcik, który właśnie ukazał się u wnijscia do zatoki.

— Zdaje się, że to jest angielski yacht — rzekł, oddając lunetę towarzyszowi.

— Prędej amerykański, kapitanie — odparł tenże — widzę srebrne gwiazdy na banderze.

Kapitan jest dobrze zbudowanym mężczyzną; cała jego postać tchnie energią i żądzą czynu. Bystro spoglądające oczy, przysłonięte ściągającymi się brwiami, świadczą o przenikliwości; orli nos, wyraźnie wycięte usta i pewne ruchy, pozwalają domyślać się hartu woli; jego pociągła twarz, okolona gęstym, czarnym, zaniedbanym zarostem, nosi wyraz zadumy, właściwy ludziom myślącym.

Człowiek siedzący obok niego, jest, jak to wskazuje jego mundur, sternikiem i przedstawia wybitny typ amerykańskiego marynarza. Barczysty, lecz chudy, ruchliwy, ma śniadą, wyrazistą twarz o charakterystycznych rysach, z których można czytać nieprzełamany upór i odwagę; z pod czapki sukiennej, na poorane głębokimi zmarszczkami czoło, wysuwają mu się rudawo-blond włosy.

— Kapitanie, ten yacht przypomina zupełnie „Narwala” — mówił dalej sternik, nie opuszczając lunety. — Do krośca! Gdybym nie widział na własne oczy, jak nasz bryg rozsywał się na wióry między ową przeklętą górą a polem lodowym, przysięgam, że to on. Taki sam wysmukły a mocny kształt, taki sam wysoki, wąski komin i grube maszty; tylko „Narwał” był cokolwiek większy. Mój Boże, dokąd to prądy morskie zaniosły jego szczytki! Może na Szpicberg albo i do samego Bieguna, jeżeli tylko ten nie leży na suchym lądzie, lub na jakiej wyspie. W każdym razie znajduje się bliżej Bieguna, niż my. Szczęśliwy ten „Narwał!” zazdroszczę mu, kapitanie; hm, gdybym się nie bał, że ryby mnie zjedzą po śmierci, nie przyjąłbym był twojej pomocy; lepiej niechby mi się tam choć martwy dostał.

A teraz tyje — i poco? Chyba po to, ażeby narzekać na swoje odmrożone nogi i gapić się, jak dzieciak, na odpływające okręty.

Ech, kapitanie Ford, my nie tak powinniśmy czas przepędzać!

Powiedziawszy to, obtarł prędko kulakiem zwilżone łoża i włożył w usta olbrzymią prymkę i począł żuć ją, kiwając smutnie głową.

Kapitan Ford, przyglądając się statkowi, którego widok przywiódł sternikowi na pamięć smutnie zakończoną podróż, miał również łzy w oczach; znać było po nim, że podziela uczucia swego towarzysza.

— Więc należałbyś jeszcze do jakiej wyprawy, James? — zagadnął nagle. — A twoje nogi, pocziwcze? We dwa tygodnie odmroziłbyś je nanowo, a potem?...

— Jestem zdrów, kapitanie i nie namyślałbym się ani chwili.

— Żeby płynąć do Bieguna?

— Tak, do Bieguna. Albo tam będę, albo zginę; tak sobie postanowiłem, kiedyś jechał przez Grenlandję na samych palach po spaleniu się „Eleonory” pod kapitanem Atkinsonem.

— I wszystko ci jedno, na czembyś pojechał?

— Tak kapitanie; choćby na rybackiej galiocie, jeżeli się nie zdobędziemy na porządny bryg.

— Myśl co chcesz, James — począł Ford po chwili namysłu — ale ja przestałem wierzyć, żeby kiedykolwiek udało się ludziom dotrzeć do Bieguna na zwyczajnym drewnianym parowcu, pływającym po morzu.

— Tak, mój stary — ciągnął, nie zważając na gest podziwienia sternika, nie ulam już pospolitym statkiem, takim, jak nasz pocziwy „Narwał”, gdyż albo trzeba je spalić potrochu, kiedy wśród zimy mrozy dokuczą, albo góry lodowe je pogruhcują.

— Więc jak?

— Statkiem podwodnym, James! — zawołał Ford, zrywając się. — Dziś wynaleziono już coś podobnego. „Gymnot” pułkownika Baudry Lacantinerie, potem łódź torpedowa Goubet’a, próbowana w Cherburgu; a hiszpański „Peral”? Są to statki niewielkie i poruszane przeważnie elektrycznością. Wynalazcy ulepszą je, to nie ulega wątpliwości; ale kiedy? Być może, że my nie doczekamy tego...

— Więc nie pojedziemy już?

W kilku tych słowach dzielnego sternika dzwięczała taka rozpacz i żal, że kapitan Ford nie mógł zachować zimnej krwi; nie zważając na majtków i tragarzy, snujących się dookoła, pochwycił w swe krzepkie ramiona towarzysza i okrył jego poorane podbiegunowemi wicrami oblicze gorącemi pocałunkami współczucia.

— Popłyniemy, James, popłyniemy, mój stary: ostatni raz! Klnę się na wszystko! Niech się co chce stanie! Albo mróz na wieki zamarynuje nasze trupy, albo dotrzemy do Bieguna. Podaj rękę, kolego!

I potrzęsawszy twardą od rudła prawicą sternika, kapitan Ford usiadł znów obok niego, poczem obaj, jak zwykle, przyglądali się wchodzącym do zatoki i wypływającym z portu okrętom. Skracali sobie tym sposobem chwilę, spędzane w przymusowej bezczynności, na nowojorskim bruku.

Przed trzema dniami miesiącami wrócili do Nowego Yorku na statku wielorybniczym, który znalazł ich umierających z głodu i zimna na dalekiej północy.

Było ich czterech: dwaj majtkowie, kapitan i sternik; pierwsi jednak umarli z odmrożeń w drodze do Stanów; z licznej i pełnej ufności we własne siły i w powodzenie, załogi „Narwala” pozostali tylko nasi nowi znajomi.

Obecnie tułają się oni po wielkiej stolicy Stanów, marząc o nowej wyprawie i wspominając minione.

Kapitan Ford, amerykańcin czystej krwi, należy do tych, podziwu godnych ludzi co zaopatrzeni w niewyczerpany zapas energii i olbrzymią cozę zapału, dążą niezłomnie do celu, jaki sobie wytknęli w życiu.

Takim celem dla kapitana Ford’a jest wydrzeć Biegunom ziemi ich tajemnice. Zagorzalec ten należał już do czterech wypraw, z początku jako płatny oficer, potem jako dowódca statku, a wreszcie, nie mogąc doczekać się nowej ekspedycji, urządził ją swoim kosztem, z własnej inicjatywy. „Narwał”, który przepadł między lodami dalekiej północy, do niego właśnie należał.

Smutny koniec tej wyprawy, jak widzimy, nie zniechęcił dzielnego kapitana.

Marzy on tylko o nowym środku komunikacji, któryby mu pomógł do osiągnięcia celu życia. Niestety! w chwili, kiedy poznaliśmy kapitana i jego towarzysza, t. j. na jesieni 1889 r., nauka jeszcze nie dała ludzkości środków do zbudowania elektrycznego statku podwodnego, któryby mógł odbyć podróż, o jakiej zamyslał Ford. Zato inna gałąź mechaniki stosowanej, niespodziewanie prawie, dzięki pracy setek swych adeptów, wydała owoc, który przyczynił się do zniszczenia marzeń kapitana Ford’a.

ROZDZIAŁ II.

Z KTÓREGO DOWIADUJEMY SIĘ, ŻE KWESTYA ŻEGLUGI POWIETRZNEJ JEST JUŻ ROZWIĄZANA.

Kapitan Ford’em wraz ze swym towarzyszem, zajmował w Central Hotelu skromne mieszkanie, składające się z trzech pokojów.

Obaj marynarze punktualnie o godzinie piątej rano opuszczali łódka i, zjadłszy śniadanie przy table d'hôte, wychodzili, podług zwyczaju, do portu, gdzie przyglądali się nowoprzybyłym okrętom.

Tak przepędzali połowę dnia; po obiedzie kapitan Ford, zawsze w towarzystwie pocziwego sternika, czytał w sali hotelowej najprzód *Navigatora* potem *New York Herald'a*, dzieląc się najświeższymi wiadomościami z Jamesem. Ten ostatni czynił to samo. Dnia 1 go października 1889 roku, Ford, wróciwszy, jak zwykle, z portu, wziął do ręki świeży numer poczytnego *Heralda*; ia pierwszej zaraz kolumnie uderzył go tytuł artykułu, wydrukowany dużemi literami.

„NOWY AEROSTAT”.

Ford, będąc wysoko wykształconym, śledził pilnie postępy mechaniki; począł więc z zajęciem czytać artykuł, który brzmiał jak następuje:

„Od naszego korespondenta dowiadujemy się, że młody polski inżynier, nazwiskiem Gromski, zbudował nowy aerostat, który, jak tego dowidły próby czynione wczoraj w okolicach Chicago, daleko pozostawia za sobą sławny elektryczny balon pp. Renard'a i Krebsa.

„Oto co nam teografuje nasz korespondent: „Dziś rano byśmy świadkami wzniesienia się balonu pana Gromskiego; sttek powietrzny ma kształty wydłużonego cygara, i poruszany jest potężną, a idealnie lekką machiną parową, konstrukcyę której wynalazca trzyma w ścisłej tajemnicy. Przez 15 minut aerostat w naszych oczach wykonywał rozmaite ewolucye powietrzu; łatwość, z jaką płynął pod dość silny wiatr, i jaką zmieniał kierunek, wprawiała nas do zachwytu; szybkość własna balonu, podług obliczeń czynionych z chronometre, wynosiła przynajmniej 15 metrów na sekundę, czyli prawie 60 kilometrów na godzinę; powłoka aerostatu, jak nas zapewniał wynalazca, jest prawie nieprzenikliwą, i może utrzymać przez 3 tygodnie, łódka jest w stanie dźwignąć 3 dzi, oraz ilość opału, potrzebną na przebycie 2,000 kilometrów. Przy pomyslnym wietrze aerostat może przelecieć kilkanaście tysięcy kilometrów, bo brak gazu nie zniewala go do duszczenia się na ziemię”.

Kapitan czyta głośno, stojąc przed Jamesem, który słuchał z otwartemi ustami; skończywszy, rzucił dziennik na stół i podskoczył w przę.

— Słyszałeś, James. — krzyknął, chwytając za ramię zdziwionego tem zadaniem się, sternika.

— Słyszałem kapitanie.

— I nic nie mówisz? Więc chyba nie pojmujesz całej doniosłości tego genialnego wynalazku? Ależ zrozum że, iż to jest ów idealny środek komunikacyi, o jakim ludzkość marzy od tak dawna; przy jego pomocy można dotrzeć wszędzie! Słyszysz? wszędzie! Nawet... nawet przez lody, albo raczej ponad lodami — do leguna!

— Jakto? przecieć na takim statku przez ocean... przez pola lodowe — bełkotał oszołomiony sternik.

— To hardzoprote, mój drogi Jamesie. Jedziemy natychmiast do Chicago: kupię, wynajmę, lub wreszcie zdobędę jak bądź areostat! James, ty ze mną, nieprawdaż?

Liczę na cię, mój stary; pamiętaj! A teraz ruszaj uregulować w łacie nasze rachunki.

James chciał jeszcze zrobić jakąś uwagę, ale Ford, wsunawszy mu w rękę swój pugilares, wypełnął na korytarz; potem, napisawszy telegram do swego bankiera, naprędce upakował walizkę. Kiedy sternik wrócił, zastał już kapitana zupełnie gotowego do drogi.

Ford nie chciał tracić ani jednej chwili; we dwie godziny potem pędzi obaj na zachód pośpiesznym pociągiem kolei Dwóch Oceanów. Przez drogę kapitan odbył ważną naradę ze swym owarzyszem. Chodziło o przygotowanie planu pochwytenia jakimś podstępem aerostatu, w razie gdyby wynalazca nie aciał go sprzedać, wynajmąć lub pożyczyć.

Pocziwy James zgadzał się na wszystko bez krytyki; powoli oswajał się z myślą, że może pojedzie nadpowietrznym statkiem do leguna. Zresztą, wszystko mu było jedno

jak, aby tylko dostać się w końcu do tego, pełnego tajemniczości i uroku, punktu ziemi, który pociągał go do siebie z niczem nieprzewycięzoną siłą.

Zaledwie pociąg zatrzymał się na dworcu w Chicago, kapitan Ford wyskoczył z wagonu równocześnie z towarzyszem. Wsiadłszy do powozu, kazali zawieść się do redakcyi *Gazety chicagowskiej*. Redaktor tego dziennika chętnie udzielił naszym marynarzom wiadomości, dotyczących się inżyniera Gromskiego.

Znakomity wynalazca mieszkał o dwie mile angielskie od miasta, we własnej willi, gdzie miał swą pracownię.

W pół godziny po opuszczeniu redakcyi, dwaj nasi znajomi znajdowali się we wskazanem miejscu. James zdaleka już, po za ciemną zielenią cyprysów otaczających willę, dostrzegł regularne kontury jakiegoś wielkiego obiektu i wskazał je kapitanowi.

— Czy to ma być ów balon, czy, jak mówią, zrywasz kapitanie, aerostat?

Ford nie odpowiedziawszy, przebiegł ogrodzenie druciane i niebawem zatrzymał się o kilka kroków od balonu.

Przy łódce aerostatu stał jakiś człowiek, na szelest, zrobiony przez Forda, odwrócił się.

— Inżynier Gromski? — zagadnął bez wstępu Ford.

Zaczepony utkwili bystre fiołkowe oczy w kapitanie, prostując swą muskularną postać, w której najwięcej imponowała pyszna głowa o wysokiem, otwartem czole, pokryta czarnemi kędziorami, spadającemi malowniczo na szerokie barki. Z twarzy inżyniera, o delikatnych, regularnych rysach, jasno przebijał jego charakter; kapitan od razu wyczytał w nich, prócz wysokiej inteligencyi, stanowczość, dobroć i szlachetność; drgające lekko kąci ust zdawały wyrażać a uśmiech, błaskający się po policzkach, zadowolony z siebie. Prócz tego w całej fizyonomii wynalazcy tkwiło coś nieoślonego, a ujmującego.

Usłyszawszy pytanie, inżynier skłonił się z pełnym godności i uprzejmości ruchem ręki.

— Czy to ten balon jest pańskim wynalazkiem? — mówił dalej żywo kapitan.

Powtórny ukłon.

— I to wszystko prawda, co donosi *New York Herald* w ostatnim numerze, który czytałem?

— Nie wiem jeszcze, co piszą dzienniki o moim aerostacie — odparł z uśmiechem inżynier.

— Donoszą, że przebiega on 60 kilometrów na godzinę i może wrócić do punktu, z którego wyruszył i utrzymać się w powietrzu przez trzy tygodnie.

— Tak jest rzeczywiście.

— A machina jego pracuje z siłą kilkudziesięciu koni parowych przez dobrą blisko?

— W istocie panie: szczegółów tych udzieliłem sam reporterom.

— Więc to wszystko prawda?

— Najzupełniejsza; ale pozwól pan, że zapytam, komu mam przyjemność odpowiadać?

— Nazywam się Ford — kapitan Ford. Powiem od razu, co mnie tu sprowadza. Pański balon jest mi potrzebny — sprzedaż mi go pan lub wynajmij wreszcie. Zrobić z przysługę mnie, a może i naucze.

— Przykro mi bardzo kapitanie — rzekł poważnie inżynier — ale muszę iść.

Nie wziąłem jeszcze patentu na swój aerostat, nie mogę go więc sprzedać.

Pojmujesz pan, że wynalazek tego rodzaju posiada znaczną doniosłość. Zmieni on niezawodnie pewne sfery stosunków, znosi bowiem przeszkody, utrudniające lub wprost uniemożliwiające przenoszenie się zwykłymi sposobami z miejsca na miejsce. W rękach energicznych pracowników na polu nauki, stanie się on potężnym środkiem, za pomocą którego poznamy dokładnie ten olbrzymi ocean atmosferyczny, rozciągający się ponad naszymi głowami, a o którym tak nie-

jeszcze wiemy; może wyrąż ziemi ostatnie jej tajem-

Przenikniemy do wnętrza Afryki, ponad wiecznymi lodami dotrzemy do biegunów...

(d. c. n.)

GOSPODARSTWO MRÓWEK.

I.

Wielkie mrowisko w lesie przysypane stosem liści mokrych, igieł sosnowych i piasku, jest niby obszernym państwem albo rodziną, — i stanowi nadzwyczaj ciekawy przedmiot dla cierpliwego obserwatora.

Ta skromna i pozorowo siedziba jest jednak zbudowana dopodrobnie, i prowadzi doń mnóstwo dróg wy-



• Popłyniemy, James, popłyniemy... (str. 2).

odnych, które z mozołem wytknęli jego mieszkańcy; oprócz głównego wejścia, zwróconego zwykle w słoneczną stronę, istnieje kilka lub kilkadziesiąt innych. Zapuściwszy się w taką ramę, wchodzimy w długi korytarz, od którego w prawo w lewo biegną galerye, kończące się salami i składami żywności, zawsze pełnymi. Wszystko to wyręte w ziemi starannie z wielkim nakładem pracy.

Po nieskończonych galeryach, niby po ulicach obszernego miasta, uwijają się jego mieszkańcy, maleńkie owady, z trój-raniastą główką, z różkami, z szerokim odwłokiem, — czarne, czerwone lub brązowe.

Mrówek bowiem znamy kilkadziesiąt gatunków, czarna czerwona i t. d.. Wszystkie jednak mają podobne gniazda i sposób życia.

Przypatrując się uważnie mieszkańcom jednego gniazda postrzegamy, że różnią się oni pomiędzy sobą: najmniejsze są samce i samiczki, które znoszą jajeczka. Te dwa rodzaje

muszki drobniutkie ulatują w powietrze; po jakimś czasie upadają na ziemię, aby złożyć jajeczka, poczem tracą swe skrzydła.

Wszelaką pracę około utrzymania i ochrony mrowiska biorą na siebie mrówki robocze; są one większe od tamtych i daleko silniejsze. Prócz mrówek roboczych w mrowisku niektórych gatunków znajdują się jeszcze żołnierze, obowiązkiem których jest staczanie walk z nieprzyjaciółmi. Wojownicy posiadają potężne szczęki do walczenia z wrogiem i często przedsiębiorą odległe wyprawy i pochody, o których opowiemy kiedy indziej.

Mawiają ludzie zazwyczaj: „mrówcza pracowitość”. To dowodzi, że mrówki mają opinię pilnych robotnic. Rzeczywiście, ich zabiegliwość budzi podziw w każdym, ktokolwiek bliżej się im przypatrywał.

Mrówki, podobnie jak i ludzie, znają podział pracy, t. j. każda spełnia włożone na siebie obowiązki, niezależnie od drugich; stosują one swą czynność w sposób niekończąco rozmaity, do wszelkich zachodzących okoliczności: jedne kopią, drugie rzeźbią, inne budują mieszkania, niektóre gromadzą dla ogółu zapasy żywności, wielka liczba poluje wokolicach na owady i robaki, inne zbierają materiały, służące do rozmaitych celów wspólnych, wysysają sok z kwiatów, ogryzają ich korony i t. d.

Przeglądając się mrowisku, widzimy, jak z pierwszemi promieniami słońca — wyruszają do pracy robotnice; szybko biegają po drogach, które często mają kilkadziesiąt kroków długości i każda oddaje się swym czynnościom.

Oto jedna znalazła nieżywego chrząszcza; biega dokoła niego, daremnie wszakże usiłuje go poruszyć z miejsca, dotyka więc wąsikami przechodzącej towarzyszi i ta niezwłocznie przyłącza się do niej; następnie dwie, trzy; inne zrozumiały zamiar pierwszych i oto, pociągnięte ich przykładem pracują razem nad wykonaniem wspólnego dzieła. Wkrótce ciężki chrząszcz zostaje przeniesiony do składów mrowiska i schowany na zapas.

Pracowite owady nie cofają się przed trudnościami, czego nie potrafi dokonać jedna, to wykona tysiąc zgodnie. Niektóre dźwigają ciężary, których człowiek, będąc tak małym jak one, nie potrafiłby podnieść, — piłka sosnowa lub liść znaczny przecie to samo dla mrówki, co belka dla człowieka.

Ciekawą jest okoliczność, że mrówki potrafią się rozpoznawać pomiędzy sobą; dwa owady, należące do tego samego mrowiska pomagają sobie, a spotkawszy się na drodze, mijają zgodnie. Jeżeli jednak na szlaku znajdzie się mrówka obca, natychmiast zostaje wypędzona.

Robotnice w swych poszukiwaniach zapuszczają się nieraz o kilkaset metrów od gniazda; mimo to trafiają doń z powrotem, znają bowiem doskonale drogę i posiadają pamięć, godną uwagi. Przetrasują one okolice drzewa, poszukując na nich owadów, służących im za pożywienie; zwiedzają siedziby ludzkie, zawsze w jakiś celu, napadają na sąsiadki, głównie dla zdobycia niewolników. Dowiedziona jest rzeczą, iż niektóre gatunki mrówek są w zupełnej zależności od swych niewolnic, nie umieją one budować, hodować poczwarek, a nawet jeść same.

Ma się rozumieć, że mrówki z porwaniami przez siebie swemi wychowanekami, obchodzą się dobru i uważają za swe towarzyszkę, korzystają jedynie z ich usług, wyświadczając im w zamian inne.

Łakomstwo mrówek na gąsienicę innych gatunków powszechnie jest znane; *formica sanguinea* chętnie zjada kokony *formicę fuscae*; *formica pratensis* jedzą gąsienicę *fuscae* i t. d.

Musimy w tem miejscu powiedzieć, iż te mrówcze jajeczka, są to właściwie gąsienicę mrówek, które wykluwają się z jajeczka, drobniutkich jak piasek, a następnie zamieniają w poczwarki, pokryte, podobnie jak u jednolitych, kokonami. Z poczwarek dopiero wychodzą młode mrówki.

swe laski miodem, który mają w żołądku, pielęgnują je starannie, gładzą i codziennie wynoszą z mrowiska na słońce, wieczorem zaś umieszczają znów w głębi gniazda. Rycina załączona przedstawia właśnie, jak stare mrówki dźwigają swe gąsiennice, chcąc zapewne ocalić je od grożącego niebezpieczeństwa.

Gospodarstwo mrówek, jak widzimy, bardzo rozumnie jest prowadzonym; owady te nie poprzestają na tem, co mogą znaleźć i przywłaszczyć sobie, lecz podobnie jak ludzie, oswajają pewne gatunki mszyc, które wydzielają słodki płyn, będący ich ulubionym pokarmem.

Pewien uczony, nazwiskiem Cook, obserwował niedawno szczególne mrówki w Teksasie, które sieją dla siebie rośliny.

WŁASNYCH SIŁACH.

POWIEŚĆ

p. Bronisławę Porawską.

TYLKO ICH DWOJE.

Był smutny, pochmurny dzień listopadowy, drobny deszcz ze śniegiem ciał ostro po twarzy tych, co zmuszeni byli m. in. z powodu niepogody wyruszyć z domu. Zmierzył zapadał, po ulicy zapalano latarnie, nieliczni przechodnie podnosili kołnierze



Gospodarstwo mrówek.

Coprawda gubią on ziarna wypadkiem, znosząc je z okolic. Tu jednak widzimy ciekawy przykład ich instynktu; gdy bowiem ziarna zaczynają kiełkować razem z innymi roślinami, mrówki ścinają szczytki naokoło gniazda wszystkie inne gatunki, pozwalając tylko rosnąć tym, z których ciągną pożytek.

Mrówki posiadają wiele zalet, które możnaby nazwać nawet cnotami. Są one nadzwyczaj litościwe, dzielą się ostatnią kropelką miodu z towarzyszkami głodnymi, — przynoszą troskliwie nawych plecach chore, udzielają pomocy swym wrogom pozapolem bitwy i poświęcają się ślepo dla dobra ogółu.

O interesujący tych owadach wiele dałoby się powiedzieć. Ograniczmy się teraz do sposobu ich gospodarowania, kiedy indziej zaśopiszemy wyprawy wojenne, walki, staczane z sąsiednimi rowiskami i wędrowniki w celach rabunku lub przesiedlenia się

Spostrzegacz.

i przyśpieszali kroku, aby jak najprędzej skryć się pod dach przed wichrem i przejmującym zimnem. Jedną z mniej uczęszczanych ulic miasta biegł prawie chłopiec lat trzynastu m. in. Krótki i wązki paltocik mundurowy słabo osłaniał go od zimna, niósł w rękę jakąś małą paczkę zawiniętą w papier, po czem ce poznać można było ucznia gimnazjum. Skreślił w bok małą ulicę i znikł w bramie piętrowej kamienicy. W chwili kilka zapukał do drzwi dolnego mieszkania w oficynie.

— To ja, babuniu — rzekł jednocześnie z poruszeniem klancki — powoli, niech się babunia nie śpieszy.

Dało się słyszeć odsunięcie krzesła, i ktoś wolno zbliżył się aby otworzyć.

Chłopiec wszedł szybko, drzwi zamknął na zasuwę i otrząsnąwszy się z wilgoci, podał rękę staruszce, którą wprowadził do krzesła.

Była to kobieta lat sześćdziesięciu, nie tyle więc wiekiem obciążona, ile widocznie chorobą i cierpieniem.

Twarz blada, szczupła, lekko zmarszczkami pokryta, miała wyraz spokojnej rezygnacji i niewysłowionej słodyczy. Ubrana w ciemną suknię i czarny czepeczek, wyglądała bardzo skromnie, a jednak, znać na niej było jakąś delikatność form towarzyskich, która przebijała się w każdym jej poruszeniu.

Usiadła na fotelu, przycisnęła chłopca do siebie i złożyła na jego czole tkliwy pocałunek.

— Nie przeziębłeś aby moje dziecko? — zapytała głosem o łagodnym, czystym brzmieniu.

— Nie babuniu, biegłem prędko i wiatr nie mógł mi dokuczyć — mówił chłopiec wesoło, zdejmując z siebie ciasny paltocik, który strząsnawszy powiesił na gwoździu, przy małym, wąskim łóżeczku, zasłanem skromną pościelą. Następnie zmienił całe ubranie, zdjęte, starannie ułożył na stołku przy łóżku, włożył jakąś wyszarzaną kurtkę, z której bardzo, bardzo wyrósł, i rozcierając zziębnięte ręce, przytupywał nogami, widocznie w celu rozgrzania takowych, przyczem, rozповідаł coś staruszce ze swobodą i wesołością szczęśliwych.

Kobieta spoglądała na niego wzrokiem pełnym miłości ale rzewnym i smutnym, a nawet jakby łzami zamglonym.

— No, ale dość tej gawędy — rzekł chłopak — to moja wada, że krótko mówić nie umiem. A teraz, lewo w tył i do pracy.

Wykręcił się na pięcie, poszedł do małej żelaznej kuchenki stojącej w kącie, rozpalil ogień, i nastawiając samowarek, grzał sobie nad blachą ręce. Przygotował dwie szklanki, starł stół okryty ceratą, postawił koszyk z bułkami, a wkrótce i samowarek, który wesoło buchał parą. Robił to wszystko tak, jak najzgrabniejsza dziewczynka, przyczem miał twarz pogodną, nie zachmurzoną ani na chwilę.

— A teraz babuniu, niespodzianka — rzekł kładąc przed babką jakiś przedmiot starannie w papier zawinięty.

— Cóż to takiego? — zapytała.

— Proszę tylko odwinąć — mówił z zagadkową miną i figlarnym uśmiechem.

Kobieta powoli rozwinęła papier, i wyjęła duży kawał pięknego placka.

— A tyś to skąd wziął? — rzekła trochę niespokojnie — czyś aby nie kupił?

— Ha, ha, ha, a to babunia uważa mnie za nielada kapitalistę — wybuchnął chłopiec śmiechem — kupić tyle placka, ho, ho! to jeszcze nie tak prędko zdobędę się na to, ale z czasem będziemy mieli wszystko, ha, nie także nawet kołaczki, zobaczy babunia jak to u nas będzie!

— Boże ci błogosław moje dziecko! — rzekła babka — ale ja to już tego pewnie nie doczekam.

— Babunia musi doczekać — rzekł chłopiec poważnie i tak seryo, jakby to od niego zależało — coby mi było po szczęściu, gdybym je sam posiadał? Ja wszystkiego pragnę dla ciebie babuniu, musisz jeszcze lat kilka pocierpieć, ale potem... potem... ja ci zdobędę spokój i dostatek na stare lata.

Patrzył na nią, wzrokiem tak serdecznym i tkliwym, że staruszka wyciągnęła do niego ręce.

— Jurku mój, jakiś ty podobny do ojca i z serca i z zapalu! — szepnęła ze łzami, tuląc głowę chłopca do piersi.

— Ach, czemuż ja ojca nie znałem? — rzekł chłopiec z żalem — i matki nie pamiętam, ciebie tylko jedną babuniu znam od lat najdawniejszych, nikogo więcej nie pomnę, nikogo.

— Sierotko ty moja — mówiła kobieta głaszcząc ciemne włosy chłopca — ojca straciłeś mając ledwie dwa miesiące życia, a matka kilka tygodni tylko przeżyła tak ciężką stratę, umarła biedaczka na zapalenie mózgu, którego dostała w dzień pogrzebu męża.

Oczy chłopca zamglily się łzami, ale spojrząwszy ze sędziwą niewiastą ogarnia wzruszenie, stłumił łezkę i woli zapanował nad żalem, który na wspomnienie rodziców, zawsze się budził w jego duszy i sercu.

— Tak Bóg chciał babuniu — rzekł całując rękę babki, i delikatnie wysunął się z jej objęcia.

— Prawda moje dziecko — odrzekła z westchnieniem — i źle robię, że cię zasmucam, ale...

Nie dokończyła, potarła ręką po czole, chwilę milczała, a potem rzekła spokojnym głosem.

— Ale mój Jurku, miałeś mi powiedzieć skąd i od kogo, dostałeś ten piękny kawał placka?

Chłopak rozśmiał się, rad że uysł babki zwróciła się na co innego, rzekł więc prędko:

— A, to nie tajemnica babuniu! Dziś imieniny pana Boruckiego, bal ogromny... Czy wie babunia że prosili i mnie abym został? Naturalnie nie chciałem, przepraszając że nie mogę, więc p. Borucka zawięła w papier ten kawał placka, i gwałtem prawie wcisnęła mi w ręce gładki odchodził.

— Czemuż nie zostałeś? — zapytała babka.

— Ja? — i chłopak ze zdziwieniem otworzył swe wielkie czarne oczy — ja.

— No, a dlaczego?

— Jaktóż bez ciebie babuniu? aktóżby ci tu usłużył?

— Poczciwe dziecko! No, daj herbatę, moja ty gosposiu kochana, i używajmy balu.

Gdy po herbacie Jurek posprzątał znów wszystko i zabrał się do książki, w której utonął cły, tak jakby nic nie istniało poza nauką, staruszka wyjęła z szoszyłka pończochę, a gdy wprawne jej widać palce, szybko nagięły drutami, usta poruszały się lekko, pewnie cichą modłą o szczęście dziecka, lub za spokój ukochanych zmarłych.

Należy nam bliżej poznać tych dwie: jedno wstępujące dopiero w progi życia, pełne wiary i ułości w swe siły, patrząc na świat, jak na zamkniętą skrzynię pełną skarbów niewyczerpanych, którą, gdy otworzy nauka wiedzę, zaczerpnie w niej pełną dłoń szczęścia, nie tylko dla siebie, ale i dla tej sędziwej, zmęczonej życiem kobiety. Oj, uśmiecha się mu się to życie i nadzieja przyszłości! Ciężko teraz, oj ciężko i biednie, ale potem? Boże drogi, jaka tjejo babunia będzie szczęśliwą! Tak marzy i śni o przyszłości Jerzy Grzymała, dzieciak trzynastoletni, sierota jak to juwiemy.

Ojciec jego miał lat dwadzieścia kilkanaście gdy umarł, a młodzieńca i delikatna jego żona nierzeniosła tej straty. Byli to ludzie dostatni gdy pracowali, nie mający jednak nic, coby mogli pozostawić sierocie. Nic, boeszcze nie mieli czasu aby coś złożyć na przyszłość, czyż żałta, przypuścić mogli, że to dziecko, z którego przybycia ta byli szczęśliwi, nie oni wychowywać będą. Jerzy został sierotą, a wszystkiem dla niego była babka, matka jego ojca, bry był jedynakiem.

Jakim cudem, biedna kobieta zła żyjąca po tych ciosach, które na nią spadły jeden po drugim, nie umiała tego pojąć, kochała bowiem syna jak to matki kochać umięją, a syn ten, był ideałem dziecka, i ona mogła go przeżyć. Przeżyła jednak, ukochaną synową przżyła, która była dla niej dziecięciem rodzonem, przeżyła to wszystko, i miała siłę zając się maleńką sierotką, która potrzebowała pieczy i troskliwości. Gdybyż tylko wychowywać to dziecicę, ale trzeba było myśleć, czem je nakarmić i przyodać. Nic miała nic, prawie tyle co nic. Spoglądała na dzień z głuchą rozpaczą, a dziecina ani rozumiejąc co się deje, uśmiechała się koralowemi usteczkami i gwarzyła sam do siebie, pchając do buzi różowe piastki, w braku innego idocznie zajęcia.

I blada ta, wątła i szczupła kobieta zamknęła ból w duszy, i stanęła do walki z życiem porażki, wtedy, gdy myślała już o wypoczynku i spokoju.

Ile przeszła trudów, zbyt długo trzeba by opisywać, dość że wychowała chłopca, a wszystkie jej siły w tym celu poniesione, widział tylko Ten, przed którym okiem nic ująć nie może. Ale chłopiec wart był ponoszenia trudów. Funduszem p. Grzymaliny, było sto dwadzieścia rubli żywoicia. Naturalnie, że utrzymać się z tego było prawie niepodobniawem, trzeba więc było dopomagać soje pracą, która również stawała się nieraz wprost niemożliwą przy dziecku, do którego piastunki nie było trzymać zaco. A tu i zdrowie

podkopane utrudniało najlepsze chęci i zamiary, i biedna kobieta załamala niejednokrotnie ręce rozpacznie, ale wtedy najczęściej zjawiał się przy jej nogach wnuczek, zaszczebiotał, zaśmiał się, i babka rwała się znów do pracy i życia.

Gdy chłopak podrosł, prędko jakoś zrozumiał położenie babki, i swoje zarazem, i zaczął także pracować. Zamiatał pokoiak strugał suche drewno, zmywał szklanki i wszelkie czynił posługi. Potem i samowarek nastawił, i wody rano przyniósł, a wszystko to czynił prędko i chętnie, bez marsa na czole, bez skrzywienia ust niechęcią.

Uwinąwszy się z robotą, szedł do szkółki, uczył się dobrze, a z przykładowego postępowania stawiany był zawsze za wzór kolegom.

Ale nadeszła najcięższa chwila dla babki i wifaka, gdy chłopiec miał przejść do gimnazjum, a tu nie było ani czem wpisowego opłacić, ani za co sprawić mundur i potrzebnych książek.

— Co my pocniemy Jurku? — mówiła babka — sypiać nie mogę, myślę i myślę, a na wpis znikąd nie widzę ratunku. Chyba... możebyś poszedł do terminu, moje dziecko, i rzemiosło może dać człowiekowi chleb i szczęście.

— Chleb, chleb — powtórzył chłopiec z błyszczącymi oczyma — czy do rzemiosła babuniu nie potrzebna nauka? a co ja umiem? czytać i pisać trochę, nic, nic więcej.

— Co ja pocnę? — rzekła babka załamując ręce.

— O Boże! — zawołał Jurek ze łzami — jakież ja jestem niedobry, tak cię martwić babuniu? Tyle już dla mnie czynisz, a ja... nic ci dać nie mogę.

— Cicho Jurku — rzekła babka — ty mi dajesz pociechę w tem smutnym życiu mojem, czy ty tego nie rozumiesz, że w tobie, dla ciebie tylko już żyję? Dałabym sobie rękę uciąć, żebym cię mogła kształcić i zapewnić ci szczęście, dziecko moje drogie.

Tak było codzień, upływały tygodnie, za dni kilka wpis się kończył, Jurek sam zrozpaczony nad wyraz taił przed babką ile cierpiał, bo widział że staruszka zmierzniała i wybladła, słyszał mierz przebudziwszy się w nocy jej tłumione łzy i westchnienia, i pocieciwy dzieciak, nie wiedział czego więcej pragnie, czy spokoju i zdrowia babki, czy nauki do której rwała się jego dusza, serce i myśl cała.

Aż dnia jednego, wpadł do mieszkania jak bomba, a takie rozradowanie było na całej jego twarzy i w oczach, takie rumieńce szczęścia krasily bladą zwykle twarzyczkę, że babka zawołała ze zdziwieniem.

— Jurku, co tobie się stało?

— Szczęście babuniu! szczęście! — wykrzyknął chłopiec rzucając czapkę na stół i chwytając babkę za szyję — będę się uczył, mam wpis zapewniony na dwa lata, a potem dam sobie radę.

— Masz wpis? gdzie? od kogo? — pytała babka coraz więcej zdziwiona — mów moje dziecko, nie mogę tego jakoś zrozumieć.

— Ach babuniu — zaczął chłopiec teraz nieco zakłopotany — nie wiem jak się to stało, skąd ja miałem odwagę.

— Co uczyniłeś Jurku? — zapytała babka, surowo niemal patrząc na chłopca.

— Ja to zaraz babci opowiem — rzekł Jurek coraz więcej zmieszany — ja przecież nigdy nic nie taję. Oto przechodząc, wstąpiłem do kościoła św. Jana, tak mi było smutno, tak smutno, chciało mi się płakać, a wstydziłem się ludzi. Skryłem się więc do kościoła, ukląkłem przed Panem Jezusem i bardzo, bardzo płakałem. Zdawało mi się że pocichu, ale pewnie to było i głośno, bo zaraz poczułem że mi ktoś rękę położył na ramieniu, i zapytał cichym głosem.

— Co ci to dziecko, czego tak płaczesz?

Podniosłem oczy i ujrzałem przed sobą księdza staruszka, który spoglądał na mnie słodko. Wtedy babuniu, ja nie wiem sam jak to było, ksiądz zaprowadził mnie do ławki, usiedliśmy, i ja opowiedziałem mu wszystko, wszystko.

Ksiądz pocałował mię w głowę, i powiedział że zajmie

się tem sam, abym był przyjęty do gimnazjum jeżeli zdam egzamin, że pierwszy wpis zapłaci za mnie, a jeżeli będę się dobrze uczył, to będę z pewnością zwolniony od opłaty. Gdy nie wiedziałem co odpowiedzieć, bo my nigdy nikogo o nic nie prosili, wtedy ksiądz powiedział że przyjdzie do babuni, zapisał sobie gdzie mieszkamy, i dodał, że na ten pierwszy rok, to mi tych pieniędzy pożyczę, a jak zapracuję to mu oddam, a jakby ksiądz umarł, to mam oddać drugiemu chłopcu potrzebującemu na wpis pieniędzy. Ach, babuniu — dodał Jerzy z zapalem — ja oddam, doprawdy oddam, zapracuję, tylko abym się mógł uczyć, abym mógł kończyć szkoły.

Chłopiec aż poczerwieniał.

— Ucz-że się moje dziecko, i ja w to wierzę że nauka szczęście dać może — rzekła babka.

Istotnie zacny kapłan jeszcze tego dnia odwiedził panią Grzymalinę, i jak powiedział, tak dotrzymał słowa.

Na rok następny, Jerzy z pierwszą nagrodą przeszedł do drugiej klasy, i od wpisu został zwolniony, co go niewypowiedzianą napelniło radością.

— Co uczyniłeś Jurku? — rzekła babka surowo niemal patrząc na chłopca.

— Nie mogłem babuniu przenieść tej myśli, żebym już nie miał się uczyć — zaczął Jurek nieśmiałym głosem — i... postanowiłem prosić ks. prefekta, aby za mnie za pierwszy rok zapłacił; przyrzekłem, że jak tylko dorosnę i zacnę zarabiać pieniądze, to pierwsze oddam zaraz na ten wpis, który ks. prefekt zapłaci.

— No i cóż? — pytała babka, widząc że chłopiec umilkł.

— Ks. prefekt się uśmiechnął, zaczął ze mną rozmawiać i wypytywać o wszystko, potem mię egzaminował, a w końcu powiedział, że mi ufa i pożyczę na wpis, nietylko na pierwszy rok ale i na drugi, a potem, to już mam myśleć o sobie. Ale czy babuniu się nie gniewa że to uczyniłem bez jej wiedzy? — mówił Jurek, niespokojnie patrząc na babkę.

— Stało się moje dziecko — rzekła babka z westchnieniem, — tym razem, może i lepiej że mi się nie zwierzałeś ze swych projektów, bo... i p. Grzymalina obtarła szybko łzy spływające po jej twarzy, a po chwili milczenia widząc smutną minę chłopca dodała:

— Ucz-że się moje dziecko, gdy wtem widzisz swe szczęście, i ja w to wierzę że nauka dać je może. Zdobyłeś to czegoś pragnął tak gorąco, ale pamiętaj chłopcze, że zaciągnąłeś dług, o którym, niech cię Bóg broni abyś miał zapomnieć.

— Nigdy! nigdy babuniu — zawołał chłopiec gorąco — ja miałbym nie dotrzymać słowa? miałbym skłamać? to tak jak gdybym skradł te pieniądze.

Twarz chłopca poczerwieniała.

— Wierzę ci Jurku — rzekła babka, i na tem skończyła się rozmowa.

Przez dwa lata Jurek z pierwszą nagrodą przechodził, i zacny prefekt, sam mu się oświadczył że jeszcze mu na trzecią klasę dopożyczy, co chłopiec przyjął. Zwiększyły się jednakże i potrzeby chłopca, umundurowanie, książki, zeszyty, stawały się wydatkiem niemożliwym do zaspokojenia, już prawie wszystko wyprzedali, najkosztowniejsze, i bezwartościowe tylko pozostawili sobie rzeczy.

(d. c. n.)

Z DALEKA

W Kentucky w Stanach Zjednoczonych znajduje się największy ul na świecie. Jest to pieczara w skale mająca 150 stóp wysokości, szerokości zaś 5 tysięcy sążni kwadratowych. Granitowe jej sklepienie oblepione jest całe plastrami miodu. W pobliżu pieczary znajdują się ulubione pszczołom rośliny: lipy, akacje, drzewa iglaste i dzikie drzewa owocowe. Obok przepływa strumień z czystą, zimną wodą. Olbrzymi ten ul urządzony w skale przez same pszczoły, dostarcza rok rocznie

kilkaset tysięcy funtów miodu, stanowiącego główny przedmiot handlu dla miejscowych mieszkańców. Obecnie czasy w Stanach Zjednoczonych zajmuje się pszczelnictwem około 70 tysięcy gospodarzy wiejskich, posiadających razem do 2.800,000 uli dostarczających rok rocznie 62,000,000 funtów miodu. Obliczono, że pszczola musi zebrać sok z 218750 kwiatków, ażeby zrobić uncję miodu.

W starożytnej siedzibie Maurów w Hiszpanii, której widok i opis podawaliśmy czytelnikom Wieczorów, gotuje się w roku przyszłym świetny obchód przypadającej czterechsetletniej rocznicy zdobycia Grenady. Królowa regentka hiszpańska sama w roku przyszłym uda się wraz z całym ministeryum do Grenady, ażeby być obecną przy rozpoczęciu uroczystości w jednej z sal w pałacu Alhambry, w której wkrótce po zdobyciu miasta, królowa Izabella katolicka przyjmowała Kolumba i obiecywała mu, że zastawi swoje kosztowności, ażeby tylko ułatwić podróż do nowych światów. Czynią się już teraz wielkie przygotowania do uroczystości i zabaw ludowych. Alhambra po pożarze, o którym wspominaliśmy w jej opisie, zostanie odrestaurowana. Mnóstwo wspaniałych fontan będzie biło bezustanku, pałac zaś oświetlony będzie przez ośm nocy z rzędu 35,000 różnokolorowych lamp. Olbrzymie stopy zapalone będą przez kilka nocy w górach Sierra-Newada, i Sierra de Loja a szczególnie na górach, w kotłynie których znajduje się Grenada. Pochody historyczne przyczynić się mają do urozmaicenia uroczystości.

Los kobiet w Chinach smutnym jest bardzo z powodu, że oprócz haftu i robót ręcznych, innego zajęcia znaleźć nie mogą. Chcąc go polepszyć młoda cesarzowa chińska zakłada w tym czasie własną przędzalnię i tkalnię jedwabiu, aby tym sposobem dać możność zarobku milionom biednych dziewcząt i kobiet. Cesarzowa kazała już sprowadzić do Pekinu z cesarskiej fabryki jedwabiu w Hang-Chan warsztaty tkackie, zdolnych majstrów i kobiety znajdujące się na hodowli jedwabników. Fabryka wzniesioną zostanie w obrębie zabudowań pałacowych. Cesarzowa bowiem wedle chińskiego zwyczaju nie powinna opuszczać pałacu, a pragnie nowe swe dzieło mieć pod bokiem.

Odpowiedź na pytanie z Nru 50.

Fizyka uczy nas, że środek ciężkości każdego ciała dąży do tego, by znaleźć się jak najbliżej podstawy. W krążku Helenki z powodu śrótu, który tkwił w jego boku, środek ciężkości znajdował się nie w środku krążka, lecz z boku obciążonego; jeśli więc Helenka postawiła krążek na pochylej linii w ten sposób, by środek ciężkości znajdował się nie na dole krążka, lecz na boku zwróconym ku podniesieniu linii, wtedy ów krążek posunie się ku górze, dopóki jego środek ciężkości nie znajdzie się najbliżej podstawy, czyli w danym razie linii.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4 k. 10, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 k. 10 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TRĘŚĆ: Św. rodzina w podróży do Egiptu (drzew.) — Balonem do bieguna p. Wł. Umińskiego (zdrzew.) — Gospodarstwo mrówek p. Spostrzegacza (z drzew.) — O własnych siłach, p. Bronisławę Porawską. — Z daleka. — Odpowiedź na pytanie z Nru. 50. — Łamigłównki i rozwiązania. Dodatek: Nowy Rok, wiersz p. T. P. — Pożądana opieka p. V. Cairo (z drzew.) — Polowanie na niedźwiedzia p. M. Weryho. — Dom Boży p. R. K. — Odwaga i zuchwalstwo p. M. P. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród puszczy meksykańskich.

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Pierwsze litera, co ma znaczenie spójnika,
Drugie w dzielach część pierwsza, lecz w sobie cała;
Wszystko zaś, niepodzielna cząstka, tak mała.
Że prawie dla oczów znika.

REBUS.



Z początkowych liter z każdego z przedmiotów wyobrażonych w kwadracikach, ułożyć nazwę miasta.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 51-go.

Szarady: Na — im.

Łamigłównki kwadratowej:

K a m e z a t k a
K a n t a r y d y
P o r t o r i k o
K o m p r o m i s
M i t t i a d e s
K r a s i Ń s k i
P a p l o Ń s k i
M o n i u s z k o
G a l l i p o l i

WIECZORY RODZINNE.

NOWY ROK.

Za siedem rzek, za dziesięć gór
Stary się rok już chowa
Z za jutra mgieł, z przyszłości chmur
Jutrzenka błyska nowa.
Za siedem gór, za dziesięć mórz
Minione ciągną czasy,
Za niemi w trop nadbiega już
Rok nowy pełen krasy.
W dziesięciu rzek, w siedmiu mórz toń
Wpada rok stary — zato
Promienną twarz ty ku nam skłoń
Nowo narodzone lato!
Za siedem gór, za dziesięć rzek
Smutki odegnaj, żale,
Tyś nowy rok, obietnic wiek,
W młodzieńczej wschodzisz chwale.
Siedmiu rzek głąb, siedmiu gór szczyt
Wszak wczoraj z jutrem dzieli?
W nowy dziś rok, w nowych dni świt
Niech serca drgną weselej...

T. P.



...W nagrodę drugą porcję dzieliła między starych przyjaciół...

POŻĄDANA OPIEKA.

Ach Luciu! Luciu! co ja widzę, coś okropnego... chodź-no prędeż! — wołała rozpaczliwie Jadzia do swej starszej siostrzyczki, pochylając się nad rowem okalającym ogród, nad którym obie zajęte były zbieraniem wodnych niezapominajek. — Cóż to za okrucieństwo, doprawdy!...

Przełknięta temi słowy Lucia rzuciła na trawę rozpoczęty wianuszek i w jednej chwili była już obok siostry, a spojrzawszy na wodę w kierunku wyciągniętego jej paluszka zaczerwieniła się ze zgrozy. Na środku rowu, splątane w wodne zarośla walczyło ze śmiercią dwoje szczeniątek; a siły opuszczały już je widocznie bo coraz częściej chowały się pod wodę, i coraz dłużej nie pokazywały się na powietrzu...

— Kija jakiego, Jadziu! Prędko! prędko! — zawołała przytomna dziewczynka widząc, że przestrzeń była za daleką, aby dostać ręką nieszczęśliwe ofiary. Na szczęście znalazła się w pobliżu sucha gałąź wierzby, zarzuciła więc ją na wodę, poczem wychyliwszy się jak można było najdalej, chwyciła przybliżone tym sposobem stworzonka i słabe już dające oznaki życia złożyła ostrożnie na trawie. Jadzia z niemem podziwieniem spoglądała na szybkie i zręczne działanie siostry i dopiero ujrzawszy bezpiecznie spoczywające na miękkiej łące szczeniątka wybuchła radością.

— Ach! jak to dobrze że udało ci się wyratować

je Luciu! Takie śliczne! Jeszcze tylko mała chwilka a byłyby potonęły. Ale co to za niegodziwiec wrzucił je tutaj, moja droga! Trzeba doprawdy nie mieć serca żeby narażać na taką mękę biedne stworzenia, nieprawdaż Luciu?...

Lecz Lucia nie odpowiedziała nic na to, pochylona bowiem dmuchała teraz z całą uwagą swoim pacjentom w różowe noski, pragnąc im powrócić życie.

— No, nic im nie będzie! — ozwała się wreszcie skoro ogrzane i obsuszone słońcem zaczęły się poruszać swobodnie. — Zobaczysz że będą już zdrowe — ale teraz... co z nimi zrobimy?...

— Naturalnie nic innego tylko zabieramy z sobą do domu!... Czy uratowawszy od utonięcia chcesz je zostawić na pastwę głodowej śmierci? — zawołała żywo Jadzia.

— Ale cóż znowu! Chodzi mi tylko o to czy mama nie będzie miała nic przeciwko temu że będziemy tyle psów chować — odparła Lucia, zabierając w fartuszek szczeniątka.

— Prawda! i stara Lotka nie będzie pewno rada z nich — odparła poważnie Jadzia. — Ale

wiesz co? — zawołała nagle wesoło. — Poprosimy żeby mamusia pozwoliła nam oddawać część naszego śniadania, a jak urosną, będziemy je żywiły z własnych oszczędności. — Dopóki są małe, mogą przecież wybor- nie spać w kredensie lub oficynie, a gniewałabym się na Lotkę, gdyby później nie chciała zabrać je do owej budy...

— No tak—może się na to co zaradzi—choźmy!...

Dziewczynki ruszyły do domu i tak ładnie prosiły mateczki, że ta rozczulona ich dobrymi serduszkami gotowemi z ujmą dla własnej buzi i kieszeni wychowywać biedne na zagładę przeznaczone stworzonka, pozwoliła na włączenie ich w liczbę domowego „inventarza panienek“, jak nazywano szumnie Lotkę i kotka Mruczusia.

A jakaż to było radość! Pieski nazwane Żabcią i Wężykiem na pamiątkę znalezienia ich w rowie, przywiązały się do swych właścicielek, i wkrótce pochłone- ły wszystkie ich wolne od zajęć chwile. Odtąd dziewczynki wstawały nawet o parę godzin wcześniej aby resztkami swego śniadania nakarmić wychowańców i na- bawić się z nimi do woli przed rozpoczęciem rannych lekcyj. Miały tylko z początku kłopot bo Żabcia i Wężyk byli tak do siebie podobni z jasnej maści i ciemnych, w jednych miejscach rzuconych łatek bron- zowych, że trudno ich było rozróżnić. Dopiero Lucia wpadła na szczęśliwy pomysł ozdobienia Żabki czerw- ną wstążeczką, w czym jej było prześlicznie. Lotka i Mruczuś okazali się nadspodziewanie łaskawymi dla małych przybyszów; podczas śniadania patrzyli zdala bez cienia nawet urazy, jak sprzątały pełen talerzyk mle- ka, a dobra Lucia była zwykle tak rozczuloną tym do- wodem braku zazdrości, że w nagrodę drugą porcyę dzieliła między starych przyjaciół. Tym sposobem ca- ła czwórteczka żyła ze sobą w zgodzie przykładowej, ku radości swych młodych właścicielek, a mama Jadzi i Lu- ci widząc to szczerze zajęcie się swych córeczek losem wyratowanych szczeniątek, które w niczem nie przeska- dzało do zwykłych ich zajęć i lekcyj, myślała, że gdyby wszystkie dziewczynki cieszyły się równem pojmo- waniem podjętych obowiązków, byłoby na świecie bardzo, bardzo dobrze...

V. Cairo.

POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIA.

W krajach bardzo zimnych, gdzie nawet żadna większa roślina wyżyć nie jest w stanie, gdzie morze za- wsze jest lodem pokryte, mieszka okrutny drapieżnik, niedźwiedź polarny.

Ma on na sobie białe, bardzo ciepłe futro i dużo tłuszczu pod skórą, dla tego też, ani mrozu, ani wody zim- nej nie boi się wcale.

W zimie śnieg mu służy za postanie, śniegiem się przykryje, a śpi cały zasypany tak dobrze, jakby w naj- lepszym łóżku.

Nieprzyjaciół groźnych biały niedźwiedź nie ma, bo któżby nie znał jego pazurów, zębów i nazwyczajnej siły. Czy jelenia napotka, czy lisa dostrzeże, rzuca się

z największą drapieżnością i pożera słabsze od siebie stworzenia.

Woda nie jest dla niego żadną przeszkodą; pływa doskonale, łapie ryby, duże i małe, a nawet foki pory- wa. Wiadomo, że foki mają swoje kryjówki w morzu. A niedźwiedź jest tak zmyślny, że je prędko odnajdzie; przyczaja się w pobliżu nory i czyha; skoro która wybieg- nie natychmiast zostanie schwyтана przez drapieżnika. Niedźwiedź ją wyciągnie na brzeg morza, zabija i na- tychmiast pożera.

Co gorsza, niedźwiedź biały jest niepospolicie żar- łoczny; zdawałoby się, że jadłby dzień cały a gdy mu zabraknie żywych stworzeń, to pochłania padlinę.

Polowanie na niedźwiedzia jest bardzo niebezpiecz- ne. Dużo nieszczęśliwych wypadków zdarzało się w cza- sie tych łowów.

Pewien myśliwy celując do niedźwiedzia, chybił. Zwierz obejrzał się i ruszył z całą wściekłością na na- pastnika.

Zacęła się gonitwa. Nieszczęśliwy człowiek rzucił broń na ziemię. Niedźwiedź zatrzymał się, obejrzał strzel- bę i zdruzgotał ją w jednej chwili. Sam zaś puścił się dalej w pogoń za człowiekiem. Myśliwy z rozpaczy rzuca kolejno czapkę, torbę i ubranie swoje. Niedźwiedź zatrzymuje się na chwilę, rozszarpuje rzucone rzeczy.

Biedak woła o ratunek, ale daremnie, niedźwiedź biegnie prędzej od człowieka, chwyta go niebawem i pożera.

Zdawałoby się, że podobne wypadki odstraszają wszystkich myśliwych od polowania na tych drapieżni- ków. Inaczej się jednak dzieje.

Nęci ich tłuszcz i ciepłe futro.

Łowy na często się powtarzają, ale bardzo rzadko bywają pomyślne.

M. Weryho.

ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

Nigdy, póki żyć będę, nie zapomnę tego wieczoru, a dziś gdy oczy zamknę, widzę najwyraźniej cały pokój i słyszę każde wypowiedziane słowo. Nie wiem dlaczego ta chwila tak mi się w pamięć wraziła, bo nieraz siady- waliśmy z mamą przy ogniu i słuchaliśmy jej opo- wiania, ale zdaje mi się, że najlepiej pamiętaliśmy począ- tek i koniec ważniejszej epoki w naszym życiu. Byli- śmy zgromadzeni w salonie, światła jeszcze nie zapalono, a ojciec, który zaprosił kilku panów na obiad, znajdo- wał się z nimi jeszcze w jadalnym pokoju. Zbliżał się już koniec maja, ale wieczory były dosyć chłodne; ma- ma kazała rozpaścić ogień i usiadła na niskim, wygod- nym fotelu przed kominkiem, trzymając małą naszą sio- strzyczkę Lucię na kolanach, podczas gdy my, chłopcy, usadowiliśmy się u jej nóg na dywanie.

Było nas tylko troje dzieci: ja, Julek i Lucia. Ja miałem już dziesięć lat, Julek kończył dziewiąty, a Lu- cia dopiero piąty rok zaczęła. Między Julkiem a mną

była mała różnica wieku, ale ja wyglądałam na wiele starszego, bo Julek w dzieciństwie bardzo chorował, i od tego czasu zawsze był blady, szczupły i wątpy. Ale chociaż mi nie zbywało ani na siłach ani na wzroście, musiałem wszystkich starań dokładać, aby mu się nie dać wyprzedzić w naukach, bo obaj razem chodziliśmy do szkoły w Londynie. Stara nasza piastunka zwykła była mawiać: „Tomkowi Pan Bóg dał zdrowie, a Julkowi zdolność”. Zdrowie i siły nieraz mi się przydały, zwłaszcza w czasie zabaw z kolegami, ale jak przychodziła nauka, to chętnie oddałbym ich połowę za zdolności Julka, chociaż wiem, żebym tej zamiany podczas rekreacji znowu żałował, bo Julkowi wszyscy koledzy dokuczali. Był on słaby i łatwo się przeraża, czasem nawet płakał, a wtedy chłopcy nazywali go beksą, pieśczochem mamy, co brzmi zupełnie inaczej w ustach chłopców, którzy to mówią aby tylko drażnić, a inaczej w ustach mamy, kiedy nam wieczorem poprawia poduszki, albo nakrywa kołderką gdy jesteś chorzy.

Pamiętam ten wieczór jakgdyby to było wczoraj. Choć ogień niedawno rozłożono, już kilka kawałków nawpół przepalonego drzewa spadło z ogniska, a ja zacząłem się nimi bawić zataczając w powietrzu wielkie, czerwone, dymiące się koła.

— Ostrożnie Tomku, jeszcze co zapalisz — powiedziała mama, ale ja nie zważałam na jej napomnienia zwłaszcza gdy spostrzegłem, że Julek się boi. Ażeby go bardziej przestraszyć, zbliżałem palące się głównie do jego rąk i twarzy, tak, że się wreszcie cały owinął w suknię mamy.

— Tomku, zaprzestań; czy słyszysz co ci mówię? — powiedziała w końcu mama zniecierpliwiona moją swawolą.

— Ale bo on taki tchórz, wszystkiego się boi, a mama przecież tchórzów nie lubi. On się boi i ciemnego pokoju, i wiatru co w kominach świszczy i psów; boi się, żeby go na ulicy powóz nie przejechał, boi się wszystkiego. Prawda, że z niego jeszcze zupełny dzieciak?

— Biedak — powiedziała mama głaszcząc go po głowie, którą jeszcze ukrywał w fałdach jej sukni. — Wyrośnie na odważnego, dzielnego chłopaka, niech tylko sił nabierze. Nieprawdaż Julku?

— Ale mama nie lubi tchórzów, a on się wszystkiego lęka.

— Najodważniejsi ludzie także się boją niektórych rzeczy.

— Tak, ale czego?

— Boją się grzechu.

(d. c. n.)

DOM BOŻY.

Po wyjeździe krawców, którzy pod koniec wakacji szli przez cały tydzień w domu państwa Sielskich, jesienne odzienie dla dzieci, mama przywoławszy 12 letnią córeczkę Józję, rzekła do niej: Idź zobacz, moje dziecko, czy pokój po krawcach już wypożyczony, i dopilnuj ażeby każdy sprzęt znalazł się na swoim miejscu.

Józia zrobiła kwaśną minę za plecami mamy, bo

w tej chwili czytała zajmującą powiastkę, od której odrywać się nie chciała; lecz nie mając brzydkiego zwyczaju sprzeciwiania się mamie, tembardziej gdy chodziło o gospodarskie zajęcia, obowiązkowe dla dziewczynek w każdym domu, udała się natychmiast na wskazane miejsce, zabrawszy książkę z sobą.

Uprzedziła ją tam młodsza siostrzyczka, Anielcia, którą p. Sielska nazywała swą „prawą ręką“, bo chociaż liczyła ona dopiero lat 9, nie dała się wszakże nikomu ubiedz w posługach i czynnościach gospodarskich przy boku mamy.

W tej chwili stojąc przy oknie, przepatrywała Anielcia różnobarwne gałganki, których stos cały trzymała w ręku. Pozbierawszy w pokoju krawców, gdzie było ich pełno, oddzielnie je kładła, dając im widocznie oddzielne przeznaczenie.

— Ty tu? jak to dobrze! — zawołała Józia, spostrzegając Anielcię — zaraz tu przyjdzie Marynka z miotłą, więc zrób, proszę cię, porządek, a gdy wszystko będzie na swoim miejscu, przyjdź mi oznajmić. Ja będę w ogrodzie na ławeczce pod kasztanem. Mama mnie kazała dopilnować Marynki, ale to wszystko jedno, skoro ty tu jesteś.

— Dobrze, dobrze — odrzekła Anielcia zajęta swym zbiciem — ja tu zostanę do końca.

— O! co tu tego wszystkiego — mówiła dalej do siebie po odejściu Józii — lecz co ja z tego zrobię, ciekawam. No, już wiem: te kraciaste flanelki powycinam w równe kliniki, kliniki te pozszywam i wyjdzie z tego kapa dla lalki, zupełnie taka jak u naszej klucznicy; frendzlę do niej dorobię z tych wełnianych zrzyneków, bo to się strzępi doskonale. Lecz cóż zrobię z tego amarantowego kwadracika ternowego? O! tego chyba szkoda dla lalki. Poco ma się tak paradnie stroić to czerepiane stworzenie? Lalka dla zabawy jeno i dla nauki szycia, nie dla parady. Ślicznie, wiem co zrobię: podstawkę do lichtarzyka w sypialni mamy. Wykroję to w cztery okrągłe zęby, podkleję kartonem, otóż masz! ale z czego dam obszycie? Z czego? poczekajcie! z karpiej łuski, którą mama zasuszyć mi kazała, mówiąc, że to się na coś przyda, łuskę każdą, przymocuję błyszczącym paciorkiem i wyjdzie z tego coś cudownego!

Z tym zamiarem, skoro Marynka urządziła się z pokojem, pobiegła Anielcia do ogrodu, a oznajmiwszy Józii, iż robota skończona, usiadła przy niej na ławce i zaczęła raz jeszcze przeglądać swój towar. Gdy jednak podniosła w górę amarantowy kwadracik ze słowami: „Jak to będzie ślicznie!” Józia rzuciwszy nagle okiem, w książce dotąd utkwionem, powstała z siedzenia, i przystąpiwszy do Józii, rzekła stanowczym głosem:

— O! tego tobie nie dam, bo to mnie się przyda...

— I ja tobie tego nie dam, bo to moje — odparła Anielcia z równą stanowczością.

— Nie dasz! zobaczymy.

— Puść mnie, to moje, puść zaraz, ja to sobie znalazłam, nie dam ci tego, nie dam — broniła się Anielcia, usiłując wyrwać rękę z silniejszej dłoni Józii.

Sprzeczkę dwóch sióstr posłyszał brat starszy, student, który w przeddzień wyjazdu z domu, używając świeżego powietrza w ogrodzie, oglądał razem sadzone

przez siebie szczepy w pobliżu. Lecz nie życząc samemu rozstrzygać tej drażliwej sprawy, chwycił się on pewnego doraźnego środka dla oswobodzenia Anielci, zagrożonej natarczywością Józci. Przyskoczywszy więc znie-nacka, wziął Józję pod ręce i puścił się z nią pędem do domu, ażeby winowajczynię postawić przed sądem mamy.

Za nimi pośpieszyła Anielcia, mocno zaniepokojona tem co się stało, wyrzucając teraz sobie niepotrzebny upór i szczerze czyniąc postanowienie wyrzeczenia się gałganka, jeśli to naruszony spokój i zgodę przywrócić zdoła.

Tymczasem mama wyrozumiała rzecz całą, wydała wyrok nie na korzyść Józci bynajmniej. Terno bowiem pozostało własnością Anielci dla tego, iż na tę własność zapracowała, a Józcia natomiast dostała ostrą naganę i musiała przeprosić siostrzyczkę, dla której okazała się i niesprawiedliwą i niewdzięczną. Przy tej sposobności mama wytłómaczyła obu dziewczynkom znaczenie pracy i znaczenie własności, brat zaś, patrząc surowo na zawstydzoną Józję, wyrzekł do niej te słowa:

— Naucz się więc, że nie to mamy prawo nazwać swoją własnością, co przemocą wydrzemy drugiemu, jako starsi i silniejsi, lecz to, co sobie zapracujemy; oraz zapisz sobie raz na zawsze w pamięci, iż w kole rodzinem znajdzie się zawsze sąd sprawiedliwy dla winnych i obrona dla uciśnionych, bo rodzina, to dom Boży.

Romania Kamińska.

SZARADA.

Szóste i pierwsze jest ptaków nazwisko
Trzecie rzeka stąd nie blisko,
Piąte, jeśli wspanak czytane
Będzie imię wszystkim znane,
Drugie, czwarte są zaimkami,
Całości szukaj między kwiatami.

Łamigłówka w trójkącie:

.
.
.
.
.
.
.
.
.
.

Zapełnić kropki literami, aby rząd pierwszy oraz pierwsze litery utworzyły nazwę zwierzęcia z rodzaju ssących, z rzędu bezzębnych, mieszkającego w Ameryce południowej. Znaczenie wyrazów w dalszych rzędach: 2. Linija równodnienna zakreślona na globie. 3. Zwierzę z gromady kręgowych, z rzędu pletwonogich. 4. Ptak z rzędu grzebiących. 5. Zwierzę z rzędu mięsożernych. 6. Góra na wyspie Kandyi. 7. Wykrzyknik oznaczający niechęć. 8. Spółgłoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 51-go.

Łamigłówki sylabowej:

MontewideO—AchałcyK—RoK—OliO—KałmaR
—KroacyA—OświeciM.

Marokko.

Zadania konikowego:

Ma zły, czarny chleb
Nieraz dobry smak,
Wtedy kiedy nam
Innego już brak

Ewa Marya.

Skrzynka do listów.

Kolejno, drogie siostrzyczki, zapoznajecie się z całą naszą rodziną; w ostatnim numerze Józio przypomniał się waszej pamięci, a teraz wy sami dopytujecie mnie o Jaskółkę, której naturalnie bardzo pochlebia życzliwa ciekawość **Horpyny**, oraz **Ciszy wieczornej z Pod.**. Opiszesz mi **Horpyno** rozkład całodziennych twoich zajęć—i mnie także mniej więcej podobnie życie upływa. Rano wstać trzeba, bo rodzina nasza dość liczna, a najstarszej córki obowiązkiem dopomagać matce w pracy, potem gram, czytam, piszę, odczytuję wasze listy, wyjść też trzeba codziennie na przechadzkę, odwiedziny znajomych zabierają trochę czasu i dzień za dniem upływa. **Ciszo wieczorna**, nigdy nie byłam w twoich stronach, teraz jednak często zabiegać tam będę myślą wiedząc iż przyjazne mam tam dla siebie serduszko. Jaskółka niedawno przeszła do staruszek. Wybacz, ale imienia jej powiedzieć ci nie mogę. Za to chętnie spełnię prośbę **Listka** bzu oraz **Violety** (którą wolałabym nazywać **Fiolkiem** lub **Violą**) proszącej mnie „choćby o krótką” odezwę”. Siostrzyczko droga, gdyby to odemnie zależało, niewąłbyście sążniste listy, ale... Redakcyja innego jest zdania! Serdecznie ci dziękuję za wszystkie szczegóły, których mi o sobie udzieliłaś. Gdybym miała odpowiadać na pytanie konkursowe, bez wahania zgodziłabym się na twoje zdanie, które zresztą większość piszących podzieliła. Prośbę twoją przedstawię Redakcyji. Wypracowaniu **Figlarki** nie potrzebuję oddawać tej przysługi, bo w chwili kiedy to piszę, już osadzone. Droga moja, sądząc z tego, co mi piszesz o swoich zajęciach, samolubstwa strzeżesz się jak najcięższego grzechu? I słusznie—tym tylko sposobem powetujesz choć w części ojcu i rodzinie stratę jaką ponieśli, a sama w uczuciu spełnionego obowiązku znajdziesz potrzebną pociechę. Zdaje mi się **Kingo**, że charakter **Kwintusa** właśnie dla tego tak ci się podoba, że niema w nim cieniu „najnieznośniejszej wady”: samolubstwa? O liścikach nie zapominam, ale i ty proszę pamiętaj, że po jednym tylko na raz przysyłać wolno i to *po wydrukowaniu* poprzedniego. Wie o tem **Gospościa Taty**, która może być zupełnie pewną, że wcale się „nie gniewam” za poufałe odzywianie się do mnie. Jestem starszą siostrzyczką waszą i całym sercem pragnę być przez was za taką uważaną. Korzystam też ze sposobności oddania ci przysługi i donoszę że najwłaściwszą dla ciebie botaniką byłaby „**Obraz** światła roślinnego, M. J. Zaleskiej. Cena rs. 1 kop. 50. Raz jeszcze dziękuję ci za miły twój liścik i to tak serdecznie, jak mi za zwrócone do niego słowa dziękuje **Kozak Sawa**. Całym sercem życzę mu powodzenia w trudnej przeprawie zdawania wstępnego egzaminu. Dobry to mój przyjaciel, zna mię już, to też nie pyta się jak to czyni **Kalina**: „czy mię przyjmiesz do grona swych przyjaciółek?”. Ma się rozumieć, że przyjmę i bez względu na kolor moich skrzydełek odwzajemniam ci się za uścisk również serdecznym uściskiem, z którego proszę niech każde z was, drogie rodzeństwo moje, swą część odbierze. Całym sercem wam siostra

Guląbka.